

CZAS EVERESTU

Pod koniec roku 1977 dr Karl Herrligkoffer – kierownik wyprawy na Mount Everest planowanej na rok 1978 – ponownie zaprosił mnie do udziału w zachodnioniemiecko-francuskiej wyprawie na ten szczyt. Grupą francuską miał kierować Pierre Mazeaud, znany alpinista oraz były minister sportu i młodzieży.

A więc mój udział w wyprawie na Mount Everest, jeszcze dwa lata temu mało prawdopodobny, stał się realny. Jednak warunkiem mego uczestnictwa była zgoda i pomoc Polskiego Związku Alpinizmu, każdy uczestnik wyprawy bowiem musiał wnieść minimalną opłatę w wysokości 6 tysięcy marek zachodnioniemieckich. Herrligkoffer zaproponował, by mój udział został zrealizowany w sprzeczcie; „w posagu” miałam wnieść 25 kurtek i spodni puchowych. Zawiadamiał również, że ze względu na moje kwalifikacje alpinistyczne planuje włączenie mnie do zespołu szczytowego.

Po uzyskaniu zgody na dofinansowanie i pomoc Polskiego Związku Alpinizmu, rozpoczęłam przygotowania do wyprawy; miała ona wyruszyć z Katmandu pod koniec lipca 1978 roku.

W marcu wyjechałam w Alpy z Anną Czerwińską, Ireną Kęsą i Krystyną Palmowską. Po trzyipółdniowej wspinaczce przeszliśmy północną ścianę Matterhornu. Dramatyczny przebieg wejścia, odmrożenie Ireny, a także akcja ratunkowa na szczycie wzbudziły zainteresowanie opinii publicznej i środków masowego przekazu. Ten największy mój sukces wspinaczkowy dał mi od nowa przeżyć uczucie partnerstwa i przyjaźni.

Po powrocie z Alp pozostało mi zaledwie trzy miesiące na przygotowania organizacyjne do wyprawy na Mount Everest. Łatwo więc przewidzieć, jak wyglądały tygodnie dzielące mnie od wyjazdu – praca w Instytucie Maszyn Matematycznych,

przygotowywanie sprzętu, zdobywanie funduszy, załatwianie mnóstwa spraw związanych z wyjazdem, no i oczywiście treningi. Toteż na badania do przychodni sportowo-lekarskiej zgłosiłam się dopiero w ostatnich dniach. Sprzęt był już przygotowany, bilety lotnicze wykupione, formalności paszportowe załatwione, a wiadomość o moim wyjeździe podano w prasie, radiu i telewizji.

Cios padł z najmniej oczekiwanej strony, choć mogłam się go spodziewać, biorąc pod uwagę tryb życia, jaki prowadziłam przez ostatnie miesiące. Po badaniach dowiedziałam się w przychodni, że karty zdrowia sportowca nic dostanę, gdyż mam... anemię!

Po wysłuchaniu diagnozy łyzy zakręciły mi się w oczach. Uprosiłam w przychodni, aby zapomnieli o mojej wizycie, zapewniłam, że jestem w pełni świadoma mego stanu zdrowia i odpowiedzialność biorę na siebie.

Musiałam podjąć decyzję – jechać czy nie? Właściwie nie miałam wyboru – przecież wszystko gotowe do wyjazdu!

W ostateczności mogę nie wchodzić na szczyt. Spośród alpinistów, którzy próbowali zdobyć Everest, wielu o znanych nawet nazwiskach musiało wycofać się. Przegrana w walce z takim „przeciwnikiem” jest czymś wysoce prawdopodobnym i nieprzynoszącym ujemy. Pojadę, rozejrzę się, będę filmować, pochodzę trochę między bazą a obozami. Wysokość mobilizuje organizm do produkcji hemoglobiny. Może zdążyć się zaaklimatyzować. Na wszelki wypadek zaopatrzyłam się w preparaty krwiotwórcze i odżywki.

12 sierpnia ze sprzętem puchowym dla wyprawy i bagażem osobistym znalazłam się na warszawskim lotnisku. Żegnali mnie najbliżsi, rodzina i przyjaciele, przedstawiciele PZA, dziennikarze. Na pół godziny przed odlotem zorientowałam się, że nie mam przy sobie paszportu. Mój bagaż był już załadowany do samolotu.

W szalonym pośpiechu pognałam samochodem na pocztę, na której załatwiałam ostatnie formalności. Poczta była już zamknięta, ale udało mi się odnaleźć paszport. W równie zwariowanym tempie powrót na lotnisko. Samolot odlatuje z niewielkim tylko opóźnieniem. Pełna emocji zapadam w fotel, ściskając w dłoni szary, wapienny kamyk. Podarowany na szczęście przez Irenę Kęsę, pochodził ze Skalek Rzędkowickich, w których wspinałyśmy się przed wyjazdem.

Lot z Delhi do Katmandu odbywam samolotem Nepalskich Linii Lotniczych. Czekam niecierpliwie, kiedy usłyszę przez głośniki komunikat o przekroczeniu granicy indyjsko-nepalskiej. Mam nadzieję, że zaraz zobaczą śnieżne

olbrzymy. Niestety. Początkowo lecimy nad Terajem, nizinną częścią Nepalu. Później też nie widzemy gór, gdyż są ukryte w chmurach, a ja jestem nieco oszołomiona radością i odrobiną ginu z tonikiem.

Na lotnisku czeka Karl Herrligkoffer. Od razu robi się raźniej, gdyż obawiałam się, że nie odnajdę wyprawy. Trafiłam w sam środek pory monsunowej, jest gorąco, parno i duszno. Przyjeżdżamy do hotelu „Taragon” pod Katmandu. Znakomita architektura projektu Szwajcarów, idealne wkomponowanie w otaczający krajobraz. Dookoła pełno kwiatów i zieleni.

W pobliżu hotelu znajduje się tybetańska wioska, w której jest największa w Nepalu stupa buddyjska – Buddanath. Na kopule świątyni ogromne oczy Buddy, tak wyraziste, że sprawiają wrażenie wszystkowidzących.

Codziennie leje deszcz. W jego strugach odbywa się domarsz do bazy. Jedyne Herrligkoffera, jego towarzyszkę Doris oraz mnie omija ta przyjemność. Ponieważ Karl chce przyspieszyć swoje dojście do bazy i uniknąć trudów marszu z karawaną, postanawia lecieć helikopterem do Lukli, od razu na wysokość 2800 metrów, „oszczędzając” około 12–14 dni podejścia. Lecę z nimi, by dogonić trzyosobową grupę stanowiącą forpocztę wyprawy, w której są najlepsi alpiniści: Hubert Hillmaier, Georg Ritter i Sepp Mack. Pozostali od Katmandu idą z karawaną „na nogach”. Tylko na bardzo krótkich odcinkach transport odbywał się samochodem.

Po godzinie lotu wylądowaliśmy w Lukli. Oczekiwaliśmy, że tłumy chętnych rzucą się do noszenia naszych bagaży. Tymczasem na lotnisku, poza grupką ciekawskich dzieciaków, nie było nikogo. W okresie monsunu miejscowi chłopcy pracują w swoich gospodarstwach, niektórzy z nich są zatrudnieni przy budowie dróg. Trzeba więc poczekać. Rozstawiliśmy namiot i zmęczeni nagłą zmianą ciśnienia wcześniej położyliśmy się spać. Monotonny szum deszczu szybko nas uspił.

Lotnisko, które nazajutrz dokładnie obejrzelśmy, to po prostu pas ziemi wspinający się na zbocze. Dzięki temu lądujące samoloty mogą wytracać prędkość na krótszym odcinku. Oprócz funkcji lotniska miejsce to pełni również funkcję placu zabaw dzieci z pobliskich wiosek. Przed południem pojawił się tragarz i obiecał znaleźć jeszcze kilku innych. Następnego dnia wyruszyliśmy z minimalnym bagażem.

Do Namche Bazar podchodziliśmy dwa dni. Nim nogi przyzwyczyły się do ciężkich butów, szłam jak po ostrzach noży.

Z podziwem patrzyłam na Herrligkoffera, który pomimo swych sześćdziesięciu lat szedł dobrym, równym tempem.

W Namche Bazar – wiosce sherpańskiej, położonej na wysokości 3600 m – doganiamy naszą forpocztę: Huberta, Seppa i Georga. Wioska wywiera na mnie niezapomniane wrażenie. Chaty, przydomowe ogródki i pola uprawne leżą na zboczach góry, która tworzy coś w rodzaju rozległego, półokrągłego amfiteatru. Z każdej chaty widać, co dzieje się w dolnych partiach wioski. W centrum wsi, na samym dole, stoi świątynia Buddy. Na sznurach odchodzących od jej koły w różne strony trzepocą na wietrze modlitewne chorągiewki.

Chata, w której zamieszkali nasi koledzy, mieści się na górnym tarasie – możemy więc podziwiać piękno wioski w całej okazałości. To z niej pochodzą Szerpowie, których nazwiska są zapisane w dziejach zdobywania Himalajów. W Namche Bazar urodził się pierwszy zdobywca Mount Everestu – Tenzing Norgay. Nie mamy jednak czasu, by bliżej poznać wioskę i jej mieszkańców. Następnego dnia ruszamy dalej. Herrligkoffer zostaje – zwalnia nieco tempo, bo chce aklimatyzować się stopniowo.

Hubert, Sepp i Georg przyjmują mnie do swego zespołu bez entuzjazmu. Są już zżyci ze sobą. Byli razem w trakcie przygotowań do wyprawy, razem czekali w Katmandu i razem podchodzili do Namche Bazar. Dołączam do nich zbyt nagle, jestem kimś zupełnie obcym. Staram się włączyć w zespół w najmniej bezkonfliktowy sposób, ale startuję z przegranej pozycji. Hubert od razu stwierdza, że kobiety na wyprawach to bezsens. Na domiar złego mam być nie tylko partnerem, ale również pełnić funkcję drugiego zastępcy kierownika i być operatorem filmowym. Za mną przemawia tylko ich ciekawość. Obserwują mnie, zastanawiają się, jaka się okaże.

Od razu popełniam błąd: jestem jak zwykle partnerska, pełna inicjatywy, włączam się do dyskusji, którądy i jak iść dalej. Natychmiast odczuwają to jako próbę naduzycia uprawnień kierowniczych. Według nich powinnam siedzieć cicho.

Trudno było w kraju przewidzieć, jak mnie przyjmą koledzy, byłam przygotowana na najgorsze i już, na szczęście, uodporniona na taką sytuację. Przyjęłam ją więc z uczuciem zawodu, ale nie nieszczęścia.

W drodze mijamy wioski leżące powyżej Namche Bazar. Na wysokości 3900 metrów znajduje się klasztor w Thyangboche. Zostajemy zaproszeni przez lamę do jego rezydencji. Jest bardzo młody, w brązowym habicie, z ogoloną głową. Mó-

wi trochę po angielsku. Częstoje herbatą, a na pożegnanie wiesz nam na szyi białe szale z czegoś, co przypomina gazę. Płacimy za nie symbolicznie pięć rupii i – jak nasi Sierpowie – wierzymy, że przyniosą nam szczęście przy zdobywaniu góry.

Powyżej klasztoru napotykamy osady pasterskie. Droga wiedzie głębokim kanyonem, o zboczach porośniętych zielenią, wśród której rozpoznaję szarotki, goryczki i krzewy głogu. Gdzieniedzie rosną topole, sosny i jałowce. Często przy strumieniach widzimy młyny modlitewne, które obracane przez wodę wycierają wiernych w odmawianiu modlitwy, podobnie jak trzepocące na wietrze modlitewne chorągiewki. Pomimo znacznej wysokości, prawie 4000 metrów, lasy wciąż jeszcze zielone. Słońce przygrzewa, nie jest zimno i nawet przestało padać. Początkowo idziemy w krótkich spodenkach, jednak przy podmuchach wiatru robi się chłodno, naciągamy wówczas pospiesznie swetry i długie spodnie. Jesteśmy już powyżej chmur monsunowych, zalegających doliny.

Po tylu różnych wyprawach domarsz do bazy jest dla mnie po raz pierwszy wręcz luksusowy. Z niemłym dreszczem wspominam Gasherbrumy – jaka ulga, że tym razem jest inaczej! W plecaku niosę tylko niezbędne rzeczy, wśród nich najcenniejsza jest kamera filmowa i jej osprzęt.

Od Namche Bazar towarzyszą nam Sierpowie, którzy wezmą udział w wyprawie. Rozstawiają namioty i przygotowują nam posiłki. Po długim marszu, trochę zmęczeni, zasiadaliśmy po południu do obiadu. Przed nami pojawiało się znakomite jedzenie, sałaty, a nawet desery. A co najważniejsze – nie trzeba było potem zmywać! Wszystkie te usługi były oczywiście płatne, kosztowały bardzo drogo, a korzystała z nich tylko grupa wyprzedzająca resztę wyprawy.

Pheriche i już wysokość 4900 metrów. Jest to osada pasterska, nastawiona głównie na turystów i wyprawy alpinistyczne. Są tu dwa hotele, bardzo tanie i odpowiednio do ceny prymitywne – spanie na zwykłych pryczach, jedzenie najprostsze. Hotel to zwykła wiejska chata z płonącym wewnątrz ogniskiem, na którym przygotowuje się posiłki. W Pheriche jest także szpital i lądowisko dla helikopterów. Znajdujemy się już na terenie parku narodowego. Pracownikami parku są głównie Nowozelandczycy, którzy kontrolują ruch turystyczny i wyprawowy w okolicach Everestu. Zdarza się, że przychodzą do bazy pod Everestem, by sprawdzić, do jakiego stopnia jakaś wyprawa zaśmieca i niszczy środowisko.

Dla polepszenia aklimatyzacji postanawiamy zatrzymać się w Pheriche na jeden dzień. Urządzamy wycieczkę w okoliczne góry, przekraczając wysokość 5000

metrów. Po drodze mijamy pustelnię mnicha buddyjskiego – chatkę z kamieni przywartą do zbocza. Mnich zaprasza do środka. Próbuje dowiedzieć się, co tu robi i jak żyje. Ale konwersacja jest utrudniona, odbywa się głównie na migi. Gościnność mnicha budzi w nas popłoch, gdyż chce nas poczęstować herbatą z solą, mlekiem i tłuszczem. Bardzo grzecznie, by go nie urazić, odmawiamy i tłumacząc się brakiem czasu, żegnamy go.

Nazajutrz opuszczamy Pheriche. Powyżej 5000 metrów napotykamy ostatnią, wysuniętą najdalej w głąb gór osadę pasterską – Lobuche. Dalej droga wiedzie wzdłuż jezora lodowca Khumbu, w tej części nieefektownego, potrząskanego i pokrytego piargiem.

Zakole lodowca – miejsce naszej bazy – osiągamy po dziewięciu dniach marszu. Stoją już tutaj namioty Francuzów. Czuję wysokość. Ból głowy i mdłości są oznaką nieprzystosowania organizmu.

Po przyjeździe do bazy zabraliśmy się natychmiast do pracy, na tej wysokości nielekkiej – przygotowywaliśmy platformy pod namioty i rozstawialiśmy je. Przy jednym z nich pomagał mi Austriak Kurt Diemberger, uczestnik wyprawy francuskiej i jej operator filmowy. Ucieszyłam się bardzo z tego spotkania. Wiedząc wcześniej, że Kurt będzie pod Everestem, zabrałam ze sobą zdjęcia z jego pobytu w Warszawie.

Kurt zachował styl dawnych wielkich alpinistów, a jednocześnie należy do współczesnych znakomitości tego sportu. Zdobył już trzy szczyty ośmiotysięczne. Pełen spokoju, ciepła, wciąż zachwycony i zafascynowany górami. Góry to dla niego nie tylko sport. Pamiętając, że nadejdzie chwila, kiedy trzeba będzie pożegnać się z wyczynem, został operatorem filmów wysokogórskich. Dzięki Kurtowi wyprawa francuska będzie miała świetną dokumentację filmową, nawet ze szczytu Everestu.

Spotkanie z Francuzami to okazja zjedzenia wytwornej kolacji. Nawet na wyprawach przywiązują wagę do dobrego jedzenia i regularnych godzin posiłków. Jadalnią jest duży namiot, w nim najprawdziwsze stoły i krzesła. Jedzenie wprawdzie z puszek, ale jak przyrządzone i przyprawione! Stertę nierozpakowanych jeszcze bagaży wieńczy ogromna druciana klatka z setkami jaj. Wśród zapasów są również świeże owoce i mięso dostarczane z dołu.

Grupa francuska jest dość liczna – ośmiu alpinistów, prawie tyle samo osób liczy zespół radiowców, a i filmowców jest niewiele mniej. Radiowcy rozstawili

maszt umożliwiający poprzez satelitę łączność z całym światem. Mogłabym zatelefonować nawet do Warszawy, ale minuta rozmowy kosztuje 13 tysięcy franków.

Z bazy można również wysłać telexy. Wśród filmowców jest znany dziennikarz Christian Briancourt oraz ciemnoskóry realizator telewizyjny Jean Claude, nieco surrealistycznie wyglądający na tle śniegu. Pierre Mazeaud – ku mojemu zaskoczeniu – wygląda jak lama, zgolił bowiem włosy „na ofiarę”, by wejść na Everest! Francuzi zaangażowali dwudziestu Szerpów, my mamy tylko dziesięciu. Nasza wyprawa składa się z piętnastu alpinistów, lekarza, filmowca, kierownika wyprawy, gospodyni bazy, dziesięciu Szerpów oraz trzech „niemieckich Szerpów”. Herrligkoffer doszedł do wniosku, zresztą słusznego, że wyprawa będzie tańsza, jeżeli do noszenia ładunków między obozami zatrudni niemieckich alpinistów, mających jakieś doświadczenie górskie, dla których już sam udział w wyprawie był atrakcją. Za wyprawę płacili oczywiście znacznie mniej niż „pełnoprawni” alpiniści. Głównym zadaniem „niemieckich Szerpów” był transport między bazą a obozami I i II. Dla mnie okazali się najmiłszymi uczestnikami wyprawy.

Nasza baza leży na znacznej wysokości – 5350 metrów, nieco niżej niż szczyt Elbrusu i dużo wyżej niż Mont Blanc. Mamy tu spędzić prawie dwa miesiące. Po kilku tygodniach będziemy do niej wracać jak do domu, gdzie można spokojnie odpocząć i nabrać sił do dalszych zmagañ z górą. Teraz na tej wysokości nie czujemy się jeszcze dobrze.

Zakole lodowca Khumbu – miejsce naszej bazy – początkowo nie było pokryte śniegiem. Piarg i kamienie skrywały olbrzymie masy lodu. Wodę czerpiemy z jeziorzek lodowcowych. W październiku, kiedy temperatury były już ujemne, jeziorka zamarzały i wodę topiliśmy ze śniegu.

Nasi Szerpowie zabierają się do budowy kuchni, magazynów oraz pomieszczeń dla siebie. Kuchnia to długa budowla o ścianach z kamieni i dachu wzmocnionym krokwiami z drewnianych pali, pozostawionych przez poprzednie wyprawy. Dach pokrywa plastikowa folia. W środku kuchni jest palenisko, ale posiłki przygotowuje się na paliwie butanowym. Prawdziwe ognisko jest tu luksusem, gdyż drewno donoszone z dołu kosztuje drogo.

Z bazy nie widać całego Everestu. Widoczna jest jedynie południowo-zachodnia grań, kulminująca w formie kształtnej piramidy, przysłaniającej główny wierzchołek. Od tego wzniesienia odchodzi grań do przełęczu Lho La. Za przełęczą

widnieje szczyt Chang Tse, leżący już po stronie tybetańskiej. Dalej grań zmierza ku szczytowi Khumbutse i łagodnie przechodzi w Lingtren. Szczyty w górnej części są pokryte śniegiem, niżej zaś piarżystymi, osuwającymi się zboczami. Dolinę zamyka piękny i strzelisty szczyt Pumori. W tym samym czasie, co my Everest, zdobywają go Szwajcarzy. W wysokich obozach nieraz widzieliśmy światła ich namiotów.

Podczas pierwszej kolacji z Francuzami zmuszałam się, by nie dać poznać, że jedzenie podchodzi mi do gardła. Czułam się znacznie gorzej niż koledzy. Nie wiele pomogły tabletki odżywcze i wzmacniające zastrzyki z żelaza. Odbiegam od normy, jeśli chodzi o możliwości aklimatyzacyjne. Muszę to przezwyciężyć.

Następnego dnia wychodzę z kolegami założyć ubezpieczenia na lodowcu Khumbu. Równocześnie Francuzi, Jean Afanassieff i Nicolas Jaeger, znaleźli przejście przez lodowiec. Jest to 600 metrów stromego jęzora lodowca, spływającego z prędkością około metra na dobę, zmieniającego wciąż konfigurację. Mimo że podchodzili drogą pierwszych zdobywców, wielokrotnie powtarzając, musieli – jak każda wyprawa – od nowa wynajdywać drogę między szczelinami, szukać mostków śnieżnych. Naszym zadaniem jest zawiesić liny poręczowe lub drabiny na lodowych ściankach, a gdy nie ma możliwości obejścia szczeliny – przerzucić przez nią duralową drabinę. Każda wyprawa robi to od nowa, spływający z gór lodowiec niszczy bowiem zakładane ubezpieczenia. Gdziekolwiek znajdujemy zniesione przez lodowiec i nieprzydatne już ubezpieczenia, zakładane przez naszych poprzedników.

Po dwóch dniach, w większym zespole francusko-niemieckim, wyruszam ponownie do góry. Sześćset metrów powyżej bazy, nad uskokiem lodowca, znajduje się śnieżna dolina zwana Western Cwm – Zachodni Kocioł lub Dolina Milczenia. Z prawej strony ograniczona zboczem Nuptse i Lhotse, z lewej zaś – Everestu. Francuzi nie zdołali dojść do tej płaskiej części lodowca, zabrakło im jeszcze kilkadziesiąt metrów. Naszym zadaniem jest znalezienie przejścia przez ostatnie metry uskoku. Po dwóch dniach prób zakładamy obóz I w Dolinie Milczenia.

Dobrze się składa, że Hubert Hillmaier z naszej grupy cieszy się sympatią Pierre'a Mazeauda. Znają się z Alp. Pierre do każdej akcji zaprasza Huberta, dzięki temu obie grupy – francuska i niemiecka – nie rywalizują ze sobą. Bardzo to dobrze wpływa na atmosferę. Pracujemy wspólnie, choć sprzęt i jedzenie mamy oddzielne.

Przed moim wyjazdem z Polski eksperci od wypraw wątpili w sukces naszej wyprawy. Nie tylko dlatego, że miała to być wyprawa pomonsunowa, a takie za-
zwyczaj rzadko się udawały. Również dlatego, że skład jej był wielonarodowo-
ściowy, kierownictwo spoczywało w rękach ludzi o dużych indywidualnościach
i nietrywchych charakterach. Wbrew prognozom stała się jednak przykładem do-
brej współpracy obydwu, ich mądrej postawy, umiejętności pójścia na kompro-
mis i dogadania się.

W pierwszych dniach września dochodzą do bazy wszyscy uczestnicy wypra-
wy. Otrząskani z lodowcem, od wielu dni zmagający się ze śniegiem i lodem wi-
tamy się z nimi jak z obcymi ludźmi.

Zresztą i oni są pełni rezerwy, może zazdrozczą nam tych kilku dni aklima-
tyzacji więcej.

Atmosfera dopiero teraz robi się bojowa. W wyprawie bierze udział sporo
osób, a piętnastka to kandydaci na wejście szczytowe. W chwili wpłaty 6 tysięcy
marek każdy otrzymał od Herrligkoffera coś w rodzaju zapewnienia możliwości
zmierzenia się ze szczytem. Ale nawet Herrligkoffer nie jest w stanie dać wszy-
stkim takich samych szans. Wyprawa jest biedna, mamy za mało butli tlenowych
i niewielu Szerpów. Od pierwszych wspólnych dni w bazie, kiedy jeszcze wszy-
scy są zdrowi i silni, ścierają się ambicje. Tracimy mnóstwo energii na dyskusje,
na pilnowanie własnych interesów. Potem rozplynie się to wszystko w zmęczeniu,
choroby przerzedzą szeregi ewentualnych kandydatów na zdobywców.

W zespole znam tylko Herrligkoffera i trójkę kolegów, z którymi podchodzi-
łam. Pozostałych uczestników wyprawy – z wyjątkiem Willy'ego Klimka znane-
go mi z wyprawy na Nanga Parbat – poznaję dopiero w bazie. Pojawia się też
druga kobieta – Marianne Walter. Odnoszę się do niej bardzo serdecznie, już wi-
dząc w niej uczestniczkę kobiecego wejścia na Everest. Ale nic z tego nie wyszło
– Marianne bez męża, Josefa, nie robi kroku. Są bardzo kochającym się i zgra-
nym małżeństwem. Poza tym Marianne brak samodzielności, która w górach jest
niezbędna. Najślabi w naszej grupie są Helmut i Jorg Daumowie, pozostali to
bardzo dobrzy alpiniści.

Przybyli lokują się w namiotach trochę przypadkowo, nie tworzą zespołów,
w których później będą szli do góry. Zatrzymuję dla siebie namiocik, który mia-
łam w czasie podejścia. Robię to nie tylko dlatego, że lubię samotność; będzie to
najmniej krępujące. Lubię po powrocie z górnych obozów zająć się wyłącznie

sobą. Kąpiel w wodzie podgrzewanej w menażkach, mycie głowy, małe pranie – to czynności, przy których niepotrzebni są świadkowie. Herrligkoffer śpi w dużym namiocie noszącym nazwę „Namiot Kierownika”, gdzie jest część sypialna, salon, pomieszczenie na bagaże. To prawie namiot campingowy, idealny na wakacje na Lazurowym Wybrzeżu.

Pierwsze zebrania i dyskusje nad planami są niezwykle burzliwe. Zbieramy się wszyscy w namiocie jadalni i gdy tak siedzimy ciasno obok siebie, widzimy, jak jest nas wielu, a każdy to pretendent do szczytu, zdecydowany walczyć o to, za co zapłacił 6 tysięcy marek. Walczyć nie tylko z górami, ale i z ludźmi stojącymi na przeszkodzie; wchodzić w przymierze z tymi, którzy jego szansę mogą zwiększyć.

Podczas jednego zebrań koledzy postanawiają, że kobiety noszą do góry tyle samo bagażu co mężczyźni. Tłumaczą to tym, że jeśli chcemy zdobywać to, co oni, być na szczycie Mount Everestu, musimy mieć te same obowiązki. Każdy więc musi wynieść z bazy do górnych obozów co najmniej 75 kilogramów. Jest to również warunek uczestnictwa w akcji szczytowej.

Wszyscy wiedzą, że są trudności z transportem, gdyż mamy za mało Szerpów. Mąż Marianne ładuje do swojego plecaka część bagażu przypadającego na nią. Mój bagaż noszę sama. Noszę także ważącą ponad trzy kilogramy kamerę i filmy. Nie jest to lekkie, w dodatku muszę filmować. Do rozwiązania pozostaje jeden problem – czy sprzęt filmowy ma być wliczony do obowiązkowego bagażu? Na ten temat toczyła się zażarta dyskusja. Uczestnikom nie zależy bowiem na tym, by o wyprawie powstał film, z którego dochody i tak pójdą do kasy Himalaya Club. Bardziej im zależy, by każdy miał równe szanse wchodzenia na szczyt. W końcu udaje mi się przekonać ich, by przy podchodzeniu kamera była wliczana w ciężar ładunku, który mam wnieść.

W czasie dyskusji pretensje kierowano również w stronę Herrligkoffera – dlaczego jest tak mało butli tlenowych? Przecież nie starczy ich dla całej piętnastki! Herrligkoffer postanawia wysłać teleks do USA z zamówieniem na dodatkowe maski tlenowe, a jednocześnie pertraktować z Pierre'em Mazeaud o odkupienie butli. Herrligkoffer jest doświadczonym kierownikiem i nie boi się takich dyskusji. Jest chłodny i sprawiedliwy, ale uczestnicy wypraw boją się go jak ognia. Umowa uczestnictwa, którą podpisują, wiąże im ręce. Jest ona bowiem majstersztykiem prawnym. Przy sporach kończących się w sądzie Herrligkoffer zawsze wygrywał.

Na tej wyprawie „czarną robotę” planowania akcji, zakładania i zaopatrzenia obozów wykonuje jego zastępca – Sigi Hupfauer. Herrligkoffer wkracza do akcji dopiero przy planowaniu ataków szczytowych.

Ciężka praca towarzyszy zakładaniu obozu I i II. W tej akcji biorę jeszcze udział. Wraz z Hubertem Hillmaierem rozstawiam pierwszy namiot w Dwójce. Ale już przy zakładaniu obozu III i IV nie jestem w przodzie. Przychodzi kryzys. Podczas podejścia do obozu III nie jestem w stanie pójść wyżej. Pocę się nadmierne, z każdym oddechem tracę siły, boli mnie gardło. Chcę podchodzić, ale organizm mnie nie słucha. Z zalem patrzę na oddalających się kolegów. Wracam do obozu II. Jestem tak osłabiona, że nie chcę sama wracać do obozu I. Myślałam, że Marianne i Josef, którzy są w obozie II, nie będą w nim nocować i zjedzą z nimi. Licząc na nich, nie dołączyłam do innych schodzących. Wołałam Walterów, bo wydawali mi się bardziej ludzcy. Prośenie zaś o pomoc niechętnych lub obojętnych kolegów sprawiało mi trudność.

Walterowie jednak zostają w obozie II, bo tak zaplanowali. Muszę więc schodzić sama. Odczuwam z tego powodu jednocześnie strach i podniecenie. Normalnie instynkt samozachowawczy i rozum powstrzymują mnie przed podejmowaniem ryzyka, choć odczuwam psychiczną jego potrzebę. Teraz okoliczności nie dają mi wyboru i nawet cieszę się z tego. Mogę bowiem, bez posądzenia o głupotę, podjąć ryzyko i postąpić zgodnie z przekonaniem, że w góry należy iść dopiero wtedy, jeśli ma się pewność, że da się im radę i że w razie czego należy przede wszystkim walczyć samemu.

Góry przyjmują wyzwanie, ale pierwsze ich zagranie jest nie fair – pogoda nagle pogarsza się. Tuż za obozem II wchodzę w zadymkę śnieżną i mgłę. Z trudnością odnajduję drogę, ledwo zaznaczoną chorągiewkami. Błogosławię je teraz, choć w słoneczny dzień wydawały się bezsensowne. Szlak wydeptany przez wcześniej schodzących już nie istnieje, został zasypany przez świeżo spadły śnieg oraz wiatr. Nie zawsze trafiam stopą na przysypany śniegiem ślad i zapadam się wówczas powyżej kolan. Osłabiona idę wolno. Zbliżam się do ścian Nuptse. Na pewnym odcinku szlak wiodący z obozu I do II przebiega bardzo blisko zboczy tego szczytu, niemal przecina stożki lawinowe, usypane u stóp ściany. Gdy rano na ścianie pojawiało się słońce, ruszały lawiny, a po świeżym opadzie spadały prawie nieustannie. Tego miejsca bałam się najbardziej. Toteż z całej wyprawy najlepiej zapamiętałam chwilę pod ścianą Nuptse – były trudniejsze niż wchodzenie na szczyt Everestu.

Przy trawersowaniu we mgle śnieżnego stożka słyszę nagle łoskot walącej się lawiny. W głębokim śniegu nie mogę uciekać. Zresztą dokąd? Uciekając przed lawiną, mogę wpaść w szczelinę. Zatrzymałam się. Z zupełną rezygnacją pomyślałam: „zaraz będzie koniec”. Po długiej, bardzo długiej chwili łoskot umilkł. Cisza. Lawina przeszła bokiem. Zebrawszy wszystkie siły, staram się jak najprędzej oddalić od tego miejsca. Każdy przyspieszony oddech z bólem przedziera się przez krtań. Ale nie mogę zwolnić. Ostatkiem sił dowlokłam się do obozu I. Choć organizm jest wyczerpany, odżyłam psychicznie – wygrałam tę rundę!

W obozie zastałam miłych i sympatycznych „niemieckich Szerpów” – Martina Ringa, Huberta Wehrsa i Franza Seilera. Zajęli się mną, dali jeść i pić. Do bazy zesłałam dopiero nazajutrz. Przez kilka następnych dni kurowałam się, starając się nie poddać przygnębieniu.

25 WRZEŚNIA. Po raz pierwszy po chorobie, która okazała się zapaleniem oskrzeli, wychodzę z bazy do obozu I. Jestem osłabiona, naszpikowana antybiotykami. Boję się powrotu choroby. Suche i mroźne powietrze wysusza i działa drażniąco na błony śluzowe dróg oddechowych. Idę z Anglikami: Dougiem Scottem i Joe Taskerem. Po drodze poprawiamy mosty, czyli drewniane liny poręczowe i drabiny. W zejściu mijają nas Niemiec, Günter Härter. Żegna się, schodzi na dół. Opuszcza już wyprawę.

– Dlaczego, co się stało? – pytam.

– Muszę wracać do domu – odpowiada.

Nie przychodzi mi w tym momencie do głowy najprostsze wyjaśnienie, że Günter nie wytrzymał napięcia, które od miesiąca potęguje się z dnia na dzień. Przestał wierzyć w sukces wyprawy oraz swój, a cena za wytrwanie do końca na wyprawie wydała mu się zbyt wysoka w stosunku do tego, co pozostawił w domu.

W obozie I Anglicy rozstawiają swój namiot. Ja zaś cały dzień spędzam w towarzystwie Huberta i Martina. Pełen słońca, prawie zwyczajny dzień – porządki, gotowanie. Długo rozmawiam z Martinem, który przypomina mi trochę Jasia Franczuka. Ma w sobie coś z Jasiowej niefrasobliwości, poczucia humoru, nonszalancji w stosunku do życia, polegającej na zdaniu się w dużym stopniu na przypadek. Opowiada, między innymi o tym, jak to raz w roku – w celu „oczyszczenia” – upija się dokumentnie i wyrzuca z siebie całą nagro-

madzoną agresję. Potem śpi długo, a po przebudzeniu zaczyna nowe życie.
26 WRZEŚNIA. Z obozu I wraz z Martinem i Szerpami idę do obozu II. Idę ostrożnie, oddychając przez wełniany szalik.

W Dwójce nieoczekiwanie zastaję Willy'ego i Sigiego, którzy następnego dnia mają zamiar iść do obozu III. Z góry schodzą Hubert i Sepp, idą do bazy na odpoczynek. Zeszli również Pierre Mazeaud i Kurt Diemberger, na wpół oślepli. Staram się jakoś pomóc, robiąc mu okłady z rumianku na oczy. Jego obecność w obozie II sprawia, że czuję się odprężona.

27 WRZEŚNIA. Wyruszam z Willym i Sigim do obozu III. Męczy mnie oddychanie, nos mam zupełnie zatkany. Przy oddychaniu ustami boli gardło. Niepokoję się. Tydzień temu doszłam tylko do poręczówek. Po półtorej godziny docieramy do początku poręczówek na ścianie Lhotse. Zakładam raki, przepakowuję plecak, dokładając zostawione tu przed tygodniem rzeczy. Idę, kontrolując tempo. Przy obozie francuskim, znajdującym się 100 metrów poniżej naszego, zatrzymałam się. Chciałam porozmawiać z Raymondem i Claudem. Okazało się, że Claude nie czuje się dobrze, widocznie zmogła go wysokość.

W obozie III, oprócz Willy'ego i Sigiego, był także Szwajcar, Robert Allenbach, który wrócił z obozu francuskiego. Georg i Hans w dalszym ciągu pracowali wyżej przy zakładaniu poręczówek. Niestety, nie wolno było mi zostać w tym obozie, pomimo że bardzo tego chciałam. Sigi kategorycznie kazał mi schodzić. Czulałam, że powinnam tu zostać, by lepiej się zaaklimatyzować, nadrobić braki powstałe podczas choroby. I tak już jestem dobra, przed wyjazdem miałam bowiem 9 mg hemoglobiny, a teraz już prawie 17. Ale mimo wszystko jestem jeszcze daleko w tyle za kolegami, którzy mają wyniki w granicach 20%. Przeklinam swoją skłonność do anemii i żałuję, że nie zrobiłam badań krwi dostatecznie wcześniej. Dziś mija miesiąc od przybycia do bazy. Właściwie nie mam powodów do rozpacz, mimo że nie biegam po górach jak na Gasherbrumach. Tam, po sześciu tygodniach, z wejściem na szczyt, miałam w sumie 15 tysięcy metrów podejść, teraz zaledwie siedem.
28 WRZEŚNIA. Odpoczywam w obozie II. Noc była spokojna, spałam sama w dużym namiocie. Rano obudziłam się z przekonaniem, że wszystkiemu dam radę. Dzień pełen słońca.

W obozie III Georg i Hans odpoczywają po zakładaniu poręczówek, natomiast Willy i Sigi poszli na Przełęcz Południową, którą jako pierwsi osiągnę-

nęli tego dnia w bardzo dobrym czasie 6 godzin, bez tlenu. Założyli brakujące 300 metrów poręczówek i tego samego dnia zeszli do obozu II. Przez następne dni Szerpowie po założonych poręczówkach wnosili tlen na Przełęcz Południową.

Siedząc w obozie, rozmyślałam nad swoją sytuacją. Dochodzę do wniosku, że zaproponowanie mi przez Herrligkoffera obowiązków drugiego zastępcy kierownika i filmowca od razu wzbudziło niechęć kolegów. Musiałabym być zupełnie inna, by uzyskać ich akceptację. Oczekiwano bowiem ode mnie trochę ciepła i kokieterii, a także pewnego podporządkowania. Usprawiedliwiłoby to fakt, że nie jestem mężczyzną. Bez tego byłam poddawana bezlitosnemu porównywaniu ich i moich możliwości w górach. Musiałabym być w sposób oczywisty najlepsza, aby nawet ci najślabsi nie czuli się lepsi ode mnie.

„Jeżeli chcesz być partnerem – bądź, ale dźwigaj i pracuj tyle samo co my”. Takie postawienie sprawy nawet bardzo by mi odpowiadało, przyjąłabym je bez najmniejszego sprzeciwu, gdyby nie towarzyszący temu nastrój – niechętny, czasem wręcz wrogi. „Zobaczymy, czy wygrasz”.

Ani śladu serdeczności czy choćby obowiązkowego koleżeństwa, brak zrozumienia i tolerancji. Taki nastrój towarzyszył mi w obozie II, gdy znajdowałam się tam z pretendentami do wejścia szczytowego, tymi najsilniejszymi. Gesty serdeczne i koleżeńskie okazywali mi tylko ci, którzy nie należeli do ścisłej czołówki. Gdyby nie oni i Kurt Diemberger, życie na wyprawie byłoby dla mnie nie do zniesienia. Kurt, z racji wieku i doświadczenia, niczemu się już nie dziwił i radził mi robić to samo.

Z ponurych rozmyślań wyrwał mnie niezwykle widok – jakiś żółto upierzony ptaszek przysiadł na menażce Roberta, potem bez strachu przespacerował się po jego głowie i niespiesznie odleciał...

29 WRZEŚNIA. Do obozu III podchodzę z Robertem oraz Berndem. Będę filmować, wychodzę więc trochę wcześniej. Biorę kamerę i dziesięć kaset. Doganiają mnie przy poręczówkach, kiedy przepakowuję plecak. Jest zimno i wieje silny wiatr. Nieopatrznie powiedziałam:

– Przy takim mrozie trudno filmować.

Zapamiętali to i nie darowali mi chwili słabości. Jak się okazało, każdy mój krok i każde słowo jest komentowane, najczęściej niepochlebnie.

Podchodzi mi się fatalnie. Może to jeszcze daje znać o sobie anemia, a może pozostałość zapalenia oskrzeli i działanie antybiotyków. Nocujemy w obozie. 30 WRZEŚNIA. Nieoczekiwanie dla siebie samej schodzę do obozu II. Robert i Bernd zdecydowali się wcześniej na zejście, bo pogoda popsuła się trochę – wiało i pada drobny śnieg. Do dziewiątej czekałam na kontakt radiotelefoniczny. Dowiedziałam się, że tego dnia nikt nie będzie podchodził do góry, a ja mam zejść, zabierając jednocześnie maski tlenowe. Przecież je tu wniosłam! Tak, ale maski trzeba znieść, by Szerpowie mogli je sobie dopasować.

Pamiętając wciąż o swoich niedostatkach aklimatyzacyjnych, chciałam iść do góry, do obozu francuskiego, a potem na Przełęcz Południową. Nie mogłam więc od razu pogodzić się z koniecznością schodzenia. Poczekalam do południa, chcąc jak najdłużej być sama. Pogoda piękna, słonecznie i bezwietrznie, chociaż rano wiało. Trzeba jednak schodzić.

Szybko idę w stronę poręczówek, ale na polskiej części zastopowała mnie mgła i brak śladów. Widoczność jest ograniczona do kilkunastu metrów. Kijkiem narciarskim wyszukuję zasypany ślad wydeptanej ścieżki. Po godzinie mordęgi dotarłam do obozu. Kucharz Mingma podszedł do mnie, pomógł zdjąć plecak, podał kubek gorącej herbaty i zupę. Jakże odwykłam od takich gestów! Koledzy siedzieli w namiotach, żaden nawet nosa nie wychylił na powitanie.

Godzinę później – awantura! Komentowano właśnie fakt, że nie filmowałam w czasie podejścia do obozu III. Robert z Berndem donieśli o tym Sigiemu, a ten wraz z Seppem napadł na mnie, nie dobierając słów:

– Jesteś niczym, taka mała, a nie wielka Wanda! – słyszę.

Jest to chyba stres wynikający z zagrożenia, przeradzający się w agresję, chęć udowodnienia sobie i mnie, że jestem niczym.

W późniejszej rozmowie na ten temat przyjazny mi Martin powiedział, że dziewięciu spośród dziesięciu żonatyh uczestników wyprawy bije swoje żony, jeśli są nieposłuszne...

Wieczorem zaszyłam się w namiocie. Zaczęło wiać. Namiot trząśnięt i rwał z uwięzi. Wzięłam proszek nasenny i obudziłam się dopiero rano. Wiało jeszcze mocniej. Ściany namiotu wygięły się pod ciężarem świeżego śniegu. Około dziesiątej zmobilizowałam się do wyjścia ze śpiwora i ubrałam się. Musiałam

odkopać namiot. Po śniadaniu poszłam do odległego o 1000 metrów obozu francuskiego, skąd przez radiotelefon przekazałam prośbę do Herrligkoffera o możliwości kontaktu z nim poza ustalonymi godzinami. Wiedziałam, że nie wytrzymam tego wszystkiego dłużej. Nie czułam się na siłach ani nie widziałam sensu pójścia z tymi ludźmi do góry. Wrogość, tak wyraźnie ujawniana, zabierała mi chęć do walki o górę, a może nawet chęć walki o życie.

O 14 udało mi się niepostrzeżenie zabrać radiotelefon z namiotu Sigiego i porozmawiać z Herrligkofferem. Powiedziałam:

– Mam dosyć – nie gór, nie wiatru, nie śnieżycy, tylko ludzi. Koniec z żartami! Nie mogę iść z wrogami na szczyt. Proponuję, by moim partnerem w ataku szczytowym był Szerpa Mingma.

Tymczasem mój problem rozwiązała pogoda. Prognoza na najbliższe trzy dni była zła. Po południu zarówno Francuzi, jak i Niemcy postanowili wycofać z obozów większość alpinistów i Szerpów. Rozpoczął się *exodus* do bazy. Prawie trzydziestu ludzi w obłąkanym tempie, walcząc ze śniegiem i wiatrem, mgłą i ciemnością, dotarło wieczorem do bazy. Nie wiem, czemu należy zawdzięczać, że obyło się bez wypadku. Nikt nie wpadł do szczeliny, choć prawie wszyscy biegli niezwiązani. Zaczęliśmy schodzić do bazy o piątej po południu. Zmrok zapadł po ósmej. Całą godzinę błędziliśmy po lodowcu bez latarek. Każdy biegł, myśląc tylko o sobie, nie oglądając się na innych. Czułam euforyczną radość, że biegnę równie szybko i że się nie boję.

W bazie powitał mnie Kurt i swoją obecnością wszystko odmienił. Już nie czułam się skrzywdzona przez innych, wszystko nabrało właściwych proporcji. A to tylko dzięki temu, że Kurt był po prostu życzliwy. I w tym momencie ucieszyłam się, że pogoda załamała się, że w górze pozostali ci wciąż mi niechętni – Sigi, Hubert, Sepp i Georg, a ja jestem wśród ludzi, z którymi znajduję wspólny język i będę wreszcie mogła zachowywać się normalnie.

– Kurt, jak to się dzieje? Przecież ci na górze to najmocniejsi. Tacy nie powinni odczuwać jakiegokolwiek zagrożenia z mojej strony. Znają swoją wartość i nie mają poczucia niższości. Nie jestem dla nich konkurentką. Wydawało mi się, że tylko słabsi wspinacze, niepewni swych umiejętności, skłonni są widzieć w innych konkurentów, zwalczać ich i utracać.

– Tu nie o to chodzi. Myślę, że na stosunku kolegów do ciebie zawążył fakt, że Herrligkoffer ustawił cię na stanowisku zastępcy kierownika. Nie-

ważne, że drugiego. Który z naszych kolegów, nawet ja, byłby zachwycony, gdyby w górach miała nim kierować kobieta?

2 PAŹDZIERNIKA. Baza. Cały dzień nic nie robię, wysuszyłam jedynie rzeczy. Odpoczywam. Uczucie ulgi, nastrój domu. Maleńki namiocik chroni przed nieprzyjaznym światem. Czytam, słucham Beethovena z taśmy magnetofonowej i zapominam, gdzie jestem. Tylko niekiedy łoskot lawiny przywraca mi poczucie rzeczywistości.

Tego samego dnia z bazy wyruszył do ataku szczytowego pierwszy zespół, w którym są Pierre Mazeaud, Hubert Hillmaier i Kurt Diemberger.

Wieczorem odwiedziłam Anglików. Jakże są inni od Niemców!

3 PAŹDZIERNIKA. Wciąż baza. Pogoda wspaniała. Robię wielkie pranie, myję głowę, polewając wodą z menażki. Bieliznę i włosy suszę na słońcu.

Prawie cały dzień trwały z Herrligkofferem dyskusje na temat Lhotse. Chciał, by jakiś zespół wchodził równolegle na ten szczyt. Zaproponował nawet skład tego zespołu: Willy, Bernd, Robert i ja. Żadne z nas nie chciało zgodzić się na ten plan. Zgoda oznaczałaby rezygnację z Mount Everestu. Karl, gdyby mógł, zmusiłby nas do tego, ale podpisaliśmy umowę uczestnictwa w wyprawie na Mount Everest, a nie na Lhotse. Kierownik wyprawy być może ma rację, chcąc wykorzystać szansę zdobycia w jednej wyprawie dwóch szczytów ośmiotysięcznych. Jednak dla nas Lhotse to za mało. Wolimy najpierw spróbować z Everestem, dopiero później pomyśleć ewentualnie o Lhotse.

Karl decyduje się wyznaczyć pierwszy zespół do ataku szczytowego na Everest. Jest w nim oczywiście Sepp Mack, Hans Engl, Sigi Hupfauer i Georg Ritter.

Na temat udziału Roberta Allenbacha w pierwszym zespole szczytowym Karl niezbyt jasno się wypowiada. Toteż Robert nie bardzo wie, czy dochodzić do grupy czekającej w obozie II, czy pozostać w bazie.

Willy Klimek, który 28 września wraz z Sigim wszedł na Przełęcz Południową, był pewnym punktem pierwszego zespołu, ale w bazie zmogła go choroba i gorączkuje.

Czuję, że w obozie II będą podejmowane decyzje dotyczące ataku szczytowego. Chcemy w tym uczestniczyć, ale nie mamy z nimi kontaktu. Nie wiemy, na co się zdecydują – w zależności od pogody i swych możliwości. Z Robertem i Berndem usiłuję szkicować plan akcji. Ale jak w obecnej

sytuacji można zaplanować ataki kolejnych zespołów szczytowych oraz ruchy zespołów zaopatrujących Przełęcz Południową i obóz III w tlen? Rysuję wykresy kilku wariantów akcji, które pokazuję kolegom. Robert prosi, by dać mu taki wykres, zabierze go ze sobą do góry. Postanawia bowiem wyjść z Walterami do obozu I, a następnie dołączyć do pierwszego zespołu szczytowego.

– Martin, znów przygotowałam „czerwoną płachtę”! Właśnie wysłałam plan akcji Sigiemu do obozu II. Może to podziałać bardziej drażniąco niż to wszystko, co działo się dotychczas.

– Nie przejmuj się! Byki są zmęczone. Jak widziałas – te w bazie jakoś nie reagowały.

Siedzieliśmy przy ognisku, długo rozmawiając o wszystkim i o niczym, wpatrzeni w ogień. Ognisko w bazie jest czymś najwspanialszym, bo przypomina mi chwile spędzone w Skalkach. Zapominam, że jestem w bazie pod Everestem, choć nie zapominam, że Everest jeszcze przed nami...

4 PAŹDZIERNIKA. Robert z Walterami wychodzi do góry. Chcę wyjść po nich następnego dnia. Pobyt w bazie dłuższy niż trzy dni to za wiele. Trzy dni to niezbędne minimum, by wypocząć. Pogoda znów pogarsza się, pada śnieg. Moje rzeczy rozwieszono są na linach między namiotami, więc na pewno nie wyschną. Jestem niewyspana, gdyż do trzeciej nad ranem kreśliłam plany różnych ataków szczytowych i ruchów poszczególnych zespołów. Mimo że pogoda załamuje się również w górze, pierwszy zespół szczytowy wychodzi z obozu II do III. Niebo jest całkowicie zachmurzone, ale Hubert sądzi, że to chwilowe.

Noc z 4 na 5 października wyjaśnia sytuację. Całą noc sypie śnieg, napadało go aż metr. W tej sytuacji przejście z obozu III – trawersem przez flankę Lhotse w stronę Żebra Genewczyków – stało się niemożliwe. Zbyt duże jest niebezpieczeństwo lawin. Postanawiają zejść z powrotem do obozu II.

5 PAŹDZIERNIKA. Tym razem – brodząc po pas w śniegu – schodzą 7 godzin. W dalszym ciągu pozostają w bazie. Niepogoda pracuje dla mnie, odpoczywam psychicznie i nabieram sił. Niepokoję się tylko o tych, którzy są powyżej bazy. Śnieg odciął zespoły w obozach. Ci, którzy zeszli z obozu III, siedzą w obozie II bez możliwości pójścia w górę lub w dół. Nawet przejście z obozu I do II jest niemożliwe. Karl zanotował, że w bazie spadło 80 cm, a w obozie I, Kotle Zachodnim i w obozie II – ponad metr śniegu.

Wiadomości o sytuacji na górze są przekazywane przez radiotelefon, ale w tych warunkach trudno uzyskać łączność. Na górze brak masek, trzeba je posłać możliwie najszybciej. Muszą być do dyspozycji, gdy tylko poprawi się pogoda. W górze, oprócz pierwszego zespołu szturmowego, są również Walterowie i Robert. Trójka ta postanawia przetorować drogę między obozem II i I. Sepp zjeżdża na nartach. Bez przeszkód docierają do obozu I, nazajutrz mają zejść do bazy. Chcąc ułatwić im przejście, przynajmniej ostatniego odcinka, i pomóc znaleźć bazę, wyruszają naprzeciw: Willy Klimek, Bernd Kullmann, Hubert Wehrs, Helmut Daum, Martin Ring i ja. Mimo naszych najlepszych chęci nie spotykamy się. Dochodzimy do miejsca, w którym przedtem była drabina. Nie ma po niej śladu, widocznie wpadła do szczeliny, która nagle się rozwarła. Jest tylko poręczówka, łącząca dwa brzegi szczeliny. Nie szukamy już obejść. Czekamy jakiś czas, ale nie widać schodzących. Sądzimy, że zrezygnowali, gdyż zbliża się wieczór. Po własnych śladach wracamy do bazy. Tamci jednak obejściem przez dość niebezpieczny teren znajdują dojście do przetorowanej przez nas ścieżki i wieczorem docierają do bazy.

8 PAŹDZIERNIKA. Zaświeciło słońce, ale jest zimno. Na górze wieje silny wiatr. Wczesnym rankiem Sepp Mack wychodzi do góry z maskami, towarzyszyć mu będzie Sepp Walter, który obawia się o żonę pozostawioną w obozie I. Śmiesz mi ta troskliwość i choć nie zamieniłabym się z Marianne nigdy w życiu, jednak trochę jej zazdroszczę. Marianne na tej wyprawie nie podjęła żadnej inicjatywy, nie zabrała głosu w dyskusjach. Robił to za nią mąż. I pewnie dlatego jej obecność była pobłażliwie tolerowana przez kolegów. Ponieważ nie była zdolna do samodzielnego poruszania się nawet na lodowcu, nie była dla nich rywalką.

W ten dzień pogody, kiedy silnie wiejący wiatr sprasował śnieg na zboczach Lhotse, niezmordowani Pierre, Kurt i Hubert wyruszają z obozu II do III. Podejmują drugi atak szczytowy. Wprost z obozu III zamierzają iść na Przełęcz Południową, a z niej, po biwaku, na szczyt.

W dalszym ciągu jestem w bazie. Przygotowuję się do wyjścia następnego dnia z Berndem, Robertem i Willym. Projekty Karla dotyczące Lhotse upadają. Powstaje natomiast inny plan: pierwszy niemiecki zespół czteroosobowy będzie atakował Mount Everest, drugi zaś, siedmioosobowy, wesprze

ich. W skład drugiego zespołu wchodzi nasza czwórka oraz Walterowie i Helmut Daum. Od razu mamy zastrzeżenia do ostatniej trójki, gdyż ich umiejętności odbiegają od naszych.

Trwają rozmowy między obozem II a bazą. Co znajduje się w obozie IV na Przełęczy Południowej? Obóz ten jest decydujący dla wyprawy. Od liczby butli tlenowych i namiotów znajdujących się tam zależy bowiem liczba osób mogących wejść na szczyt. Początkowo Karl przewiduje cztery butle na osobę, potem okazało się, że wystarczą trzy, łącznie z tlenem do spania w czasie nocy.

Nieustannie utrzymujemy kontakt z górnym obozem i próbujemy przymierzyć się do ich sytuacji, wyliczyć, w jaki sposób i jakimi siłami uda się zapewnić tlen dla każdego, kto będzie zdobywał szczyt. Liczba pretendentów do szczytu zmalała o trzy osoby. Pierwszy opuścił wyprawę Günter Härter, z nim jego przyjaciel Hans Kirchberger, a następnie Jörg F. Daum, który obraził się o głupstwo i wyjechał. Pozostała więc dwunastka.

Powoli nawiązuję kontakt z tymi, którzy pozostali w bazie. Epicentrum niechęci znajduje się gdzie indziej. Nie „poszturchiwana psychicznie” potrafię zainteresować się innymi: troszczę się o chorego Willy’ego, zauważam cierpienie Karla, którego migrena dopada kilka razy dziennie, zaczynam dostrzegać problemy kolegów. Jest to możliwe tylko wówczas, kiedy nie muszę bronić się przed ich agresją.

9 PAŹDZIERNIKA. Wyruszamy z bazy do obozu I. Pogoda dobra, świeci słońce. Nasza czwórka miała wyruszyć z Helmutem Daumem, aby później z Walterami, koczującymi w obozie II, iść w stronę szczytu. Rano okazało się, że Helmut rezygnuje – jest zmęczony źle przespaną nocą. Tak więc zostajemy we czwórce: Robert, Bernd, Willy i ja. Po raz pierwszy czeka nas wspólne podejście.

Tylko na początku wyprawy chodziliśmy po lodowcu związani liną, potem jak kto chciał i kiedy chciał. Jedyne Kurt zachowywał rozsądek. Bo właśnie na uskoku lodowca Khumbu wydarzyła się większość wypadków pod Everestem. Ruchomy, uszczeliniony lodowiec pochłonął wiele ofiar. Ale nas rozzuchwaliło szczęście, podczas naszej działalności nie zdarzył się żaden wypadek na lodowcu. I tym razem nie byliśmy związani, ale uważaliśmy na siebie. W pewnym momencie wpadłam jedną nogą w szczelinę. Bernd, będący najbliżej, podał mi natychmiast kijek narciarski i pomógł

wydostać się. Nie byłam już sama, czułam przynależność do akceptującej mnie grupy. Nie związaliśmy się nawet wówczas, gdy okazało się, że nie ma dalej szlaku. Ślad obu Seppów – Macka i Waltera – kończył się w olbrzymim rumowisku lodu, a nasza droga, przecięta szczeliną dziesięciometrowej szerokości z przerzuconą przez nią drabiną, przestała istnieć. Drabina zwiisała w absurdalnym miejscu, na brzegu szczeliny. Rumowisko minęliśmy obojętnie, jakby było całkowicie bezpieczne. Wyjście z niego okazało się jednak ryzykowne, na drugą stronę bowiem można było przedostać się tylko przez niepewnie wyglądający most śnieżny. Byliśmy niepoprawni, nie wyciągnęliśmy liny z plecaka. Chyba jednak zobojętnieliśmy na niebezpieczeństwo. Lodowiec oglądaliśmy już sześć tygodni i przestał nas straszyć, choć nadal był niebezpieczny.

Tego dnia między obozem III a Przełęczą Południową mają miejsce dramatyczne wydarzenia. Pierre, Kurt i Hubert idą na Przełęcz wraz z Szerpami, niosącymi butle tlenowe, namiot, jedzenie i paliwo. Muszą od nowa torować szlak. Przed Przełęczą Szerpowie zastrajkowali:

– Za dużo wiatru, *sahib!*

Nie pomagają namowy i obietnice dodatkowych pieniędzy – Szerpowie nie chcą iść dalej. Ale pierwszy zespół szturmowy, mimo wszystko, postanawia dotrzeć na Przełęcz, choć wiadomo, że w tych warunkach bardzo trudno będzie rozstawić namiot. Im wyżej, tym wiatr silniejszy.

Na Przełęczę Południowej szaleje huraganowy wiatr. W tumanach śnieżnego pyłu nie mogą znaleźć depozytu pozostawionego wcześniej przez Szerpów, nie mają śpiworów i jedzenia. Próbuje rozstawić namiot w pobliżu ogromnego kamienia – na samej krawędzi Przełęcz. Udaje im się to dopiero po dwóch godzinach szarpaniny. Wiatr wzmacnia się. O siedemnastej decydują się zejść do obozu III. Jest on przepelniony, tego dnia bowiem doszli tu Sigi, Sepp, Hans i Georg – pierwszy niemiecki zespół szczytowy, oraz Szerpowie niosący 22 butle tlenowe na Przełęcz. Namiotów jest tylko cztery, toteż wszyscy spędzają fatalną noc.

cdn.

Na dalszą część rozdziału CZAS EVERESTU zapraszamy za tydzień.